

A cały lud zawołał: „Krew Jego na nas i na dzieci nasze”

(Mt 27,25)

KREW I POPIÓŁ

Dwadzieścia lat to bardzo długo. Ludzie i miejsca się zmieniają. Czasem nie do poznania. Dwadzieścia lat to bardzo krótko. Doznane krzywdy nadal są żywe i świeże jak krew rozlana na śniegu.

Maria wysiadła z samochodu i rozejrzała się wciskając mocno w kieszenie czerwonej kurtki dłonie zwinięte w pięści. Było zimno. Choć dopiero początek listopada, to z ust wydobywał się zmarznięty oddech. Ledwie 15.00, a w powietrzu unosiły się kłęby mgły. Jakby chmury opuściły się nisko nad ziemię. Stłumiony wilgocią świat nie wydawał żadnych dźwięków. Maria rozejrzała się po pustym podwórku porośniętym karykaturami drzew owocowych. Gdzieś z tyłu głowy przez chwilę błysnęło wspomnienie tego miejsca, które tętniło życiem. Dźwięki – to przyszło najpierw. Krzyki, potem słońce, plamy światła... Zdusiła to w podświadomości, jak gasi się niedopałek w popielniczce, by opanować nerwy. Gdzieś odezwała się wrona, ale poza dźwiękiem niczego nie dało się zauważyć. Maria drgnęła i w zaciśniętej dłoni wyciągnęła z kieszeni klucze. Podeszła do drzwi i znów się zatrzymała.

- Po co? – wybrzmiało w jej myślach. Mocniej ścisnęła klucze i zmusiła się, by włożyć klucz do zamka. Znała dobrze jego kształt. Podwójne ząbki. Spośród miliona innych mogłaby go bez trudu znaleźć dotykiem. Przywitał ją smród stęchlizny i grobowe zimno. Jeśli miałyby wierzyć słowom Markowskiego – wystarczyłoby rozpaść w piecu, żeby rozgrzać mieszkanie. Najpierw szeroko otworzyła niewielkie, jednoszybowe okna, obchodząc przy tym wszystkie 4 pomieszczenia. Na koniec weszła do łazienki. Przydałby się gorący prysznic, więc odkręciła z trudem kurek. Tak jak myślała – wodę zakręcono. Odbezpieczyła główny zawór i wyszła na zewnątrz w poszukiwaniu czegoś, w czym dałoby się przynieść drewna lub węgla, jeśli taki znalazłaby w komórce w głębi podwórza. Odetchnęła po wyjściu na zewnątrz i ruszyła do dobrze jej znanego pomieszczenia na tyłach zagrody. Znalazła resztki węgla, jakieś drewno. W połowie drogi do domu zatrzymała się pod wpływem wspomnienia. Zima, Sylwester, prawie północ. Śnieg skrzypiący pod stopami i dokładnie to samo miejsce, ta sama stara węglarka z węglem, ta sama cisza i to samo poczucie bycia jedynym człowiekiem w kosmosie. Kopnęła w kamień na zarośniętej ścieżce i ruszyła do domu.

Markowski miał rację – piec działał bez zarzutu.

Popijając gorącą herbatę ze starego kubka po ciotce Maria zwinęła się w kłębek w fotelu, który

przyciągnęła z pokoju do kuchni. Otworzyła drzwiczki pieca i otulona w śpiwór, który zabrała ze sobą, wpatrywała się w płomienie. Dom z wolna odżywał, rozgrzewał się, rozkręcał niczym stara, dawno nieużywana pozytywka. Napędzane wspomnieniami i smakiem herbaty, podsycane ciepłem w kalejdoskopie myśli wróciły tamte chwile.

Poczucie, że oto właśnie puszczasz się życia. Rozwierasz kurczowo zaciskające się na materii istnienia palce i chyboczesz się chwilę na krawędzi. Nie czujesz strachu tylko ulgę, wreszcie spokój. Nie ma nikogo, kto by ci chciał podać rękę. Jesteś sama. Jak w zwolnionym tempie patrzysz tęsknie w ciemność, w niebyt. Nie masz siły, by uciąć tę kruchą nić, która cię trzyma w rzeczywistości. Ale wiesz, że jeśli poczekaś chwilę, to ona sama pęknie. Odleciś jeśli nie ciałem, to przynajmniej duchem. Myśl, że nikt po ciebie nie wyciągnie ręki, nikt nie chwyci znad przepaści, już nie boli, nie uwiera tak bardzo. Terapeutka spytała, co sprawiło, że wróciła, że wykonała ruch i przytrzymała się krawędzi, że nie runęła w dół. Maria wiedziała, co ją za każdym razem ratowało, gdy ocierała się o granice ludzkiej wytrzymałości. Pisanie i bieganie. I tym razem po to tu przyjechała, by pisać nie o sobie przecież, nie o swoim życiu napisać tę historię jeszcze raz. Będzie chodzić od drzwi do drzwi i pisać kreując od nowa to, co już stało się przeszłością.

Ze snu wyrwały ją krzyki i płacz, które tak dobrze знаła. Poderwała się zrzucając kubek i klęcząc. Przeszłość znalazła furtkę snu, przez którą usiłowała się wdrzeć do jej mózgu. Listopadowy poranek wdierał się zimnem do domu, który szybko stygł. Ogień przygasł, więc dołożyła opału. Wygrzebała się z posłania i rozpoczęła codzienny rytuał, żeby szybkim krokiem uciec przed koszmarami w lepką mgłę nowego dnia. Odnajdywała z trudem stare, dobrze znane ścieżki. Ze zdziwieniem wkroczyła na asfaltową drogę, która kiedyś była polną dróżką obsadzoną lipami. Przyspieszyła tnąc rękami gęste od wilgoci powietrze. Równy rytm kroków i oddechu uspokajał, wiązał z tym, co tu i teraz, nadawał życiu tempo, sens i cel. Po pierwszym kilometrze w głowie miała ułożony plan dnia, którego początek obwieściły niemrawe promienie słońca szukające sobie miejsca wśród nagich drzew przy drodze.

- Dzień dobry, Maria Miazga. Rozmawiałam z panem tydzień temu w sprawie Pękalskich – pierwszy telefon i zarazem pierwszy punkt planu dnia.

- Tak, pamiętam. A co chciałby pani wiedzieć? – emerytowany posterunkowy Gołębczyk chciał wyraźnie pójść na skróty i załatwić sprawę telefonicznie. Mówił dziwnie wolno, spokojnie, wręcz zdawał się cedzić słowa.

- Panie Gołębczyk, chciałabym się spotkać. Mam nadzieję, że znajdzie pan dla mnie trochę czasu. To dla mnie ważne – delikatnie próbowała nakłonić policjanta do współpracy. Z doświadczenia wiedziała, że jeśli teraz zacznie wywierać nacisk, to niczego nie osiągnie.

- Niech p-pani da spokój tej sprawie. Niczego nowego pani nie odkryje poza tym, co wtedy udostępnił mi mediom – rozmówca był zdecydowany bronić swych racji. Pod wpływem emocji zaciął się kilka razy. Melodia wypowiedzi zaczęła lekko falować zwiastując wybuch rozmówcy.

- Nie mam zamiaru niczego odkrywać. Tym bardziej nikomu zaszkodzić, czy kogokolwiek oskarżać – starała się ukoić obawy Gołębczyka. Odpowiedziała jej cisza w słuchawce, więc kontynuowała:

- Panie Gołębczyk, jestem pisarzem, a nie prokuratorem czy dziennikarzem. Nie szukam sensacji, ale in-

spiracji.

Chciała dodać – o ile pan rozumie różnicę - ale powstrzymała się od sarkazmu. Po chwili głos bez opadania się i wznoszenia z wahaniem i źle skrywaną niechęcią zaproponował spotkanie.

- Mam nadzieję. Niech pani dziś do mnie przyjedzie, powiedzmy o 15.00.

- Dziękuję, do zobaczenia panie Gołębczyk – odpowiedziała ze spokojem i westchnęła.

Wiedziała, że łatwo nie będzie. Ale wiedziała też, że musi to doprowadzić do końca. Na tym polegała tak różnie oceniana cecha jej charakteru. Upór i konsekwencja nie zawsze podobają się ludziom. Tym gorzej, jeśli nie liczysz się z niczym, co stanie ci na drodze do celu, a to niestety często zdarzało się Marii. Dlatego też to, co sobie postanawiała, realizowała sama. Nie знаła nikogo, kto potrafiłby wytrzymać narzucone przez nią tempo, kto byłby na tyle zdeterminowany działaniem, żeby nie rozpraszać się codziennością. Nie знаła nikogo o charakterze tarana i to porządnie uzbrojonego i odpornego na słabości. Tak została wyposażona przez życie i tego się trzymała.

Starannie planowała w głowie kolejne kroki. Szukała okruchów i śladów tego, co, zdawałoby się, już nie istniało. Ale póki żyją ludzie, którzy byli świadkami, którzy coś wiedzieli, widzieli lub słyszeli, niczym trzy mądre małpki, była szansa, że coś uda się odtworzyć. Byle tylko nie okazało się, że ludzie, niczym te mądre małpki – mówią o rzeczach, których nie widzieli, o złu, które nie miało miejsca lub świadomie odcinają się od tego, co przecież do chlubnej historii tej małej miejscowości nie należy. Maria postanowiła wykorzystać w książce motyw trzech mądrych małpek. W notesie zakreśliła kolejny punkt, który należało zrealizować.

Głęboko odetchnęła, zanim przekreśliła kluczyk w stacyjce auta. Jeszcze raz pamięcią przebiegła po liście w umyśle, na której zapamiętane miała niezbędne wyposażenie na takie wypadki. Auto cicho zamruczało i potoczyła się gładko po drodze wchłonięte za chwilę przez błady świt nieśmiało rozświetlony chorem z zimna słońcem. Lubiała niezawodność pojazdu, ale nie przywiązywała się do żadnego i nie pielęgnowała jak dziecka. To była maszyna, nad którą panowała. Miała działać i nie zawodzić. Czasem zależało od tego życie. Niejeden kierowca rajdowy zadziwiłby się, z ilu opresji wyszła bez szwanku. Nie zamykała oczu, nie truchlała ze strachu, kiedy z przeciwnego pasa wyskakiwał nagle potężny tir pędząc prosto na nią. Sprężona niczym do skoku błyskawicznie oceniała szanse i reagowała. Za wiele dróg pokonała w ten czy inny sposób, by dać się zabić na którejś z nich komuś, kto skrajnie nieodpowiedzialnie czasem wsiada za kierownicę. Wiedziała, że jej ciało, umysł i duch są niezawodne dzięki temu, że całymi latami zmuszała je i ćwiczyła, przyzwyczajała do ciężkiej pracy, do parcia pod prąd. A kiedy przyszedł sukces, nie delektowała się nim, nie smakowała go, lecz traktowała jako kolejny krok w drodze do celu. Niektórzy zarzucali jej, że nie potrafi się cieszyć, że nie potrafi żyć pełnią życia, ale ona wiedziała, że radość lepiej smakuje w samotności i w drobnych przyjemnościach, a nie w towarzystwie celebrytów, przy wtórze głośnej muzyki, którą należy skutecznie zagłuszyć najróżniejszymi używkami.

Borki – sąsiednia miejscowość cicho sapała dymami wydobywającymi się z kominów niczym oddechy. Minęła pierwsze zabudowania i wjechała na polną drogę po lewej, która kończyła się gdzieś pod lasem. Widziała to na mapach internetowych, niejasno pamiętała z dzieciństwa. Miejsce, którego szukała, porastały nagie, sztywno patrzące w górę gałęzie olszyny. Jakiś zarys domu, może resztki ścian, a może tylko kawałek płotu. Wysiadła z auta, kiedy natura zdecydowanie zabroniła jej dalej wstępu. Ptak ode-

zwał się ostrzegawczo w mlecznym i zimnym powietrzu. Gałęzie trzeszczały i czepiały się jej rozpaczliwie, kiedy przedzierała się głębiej. "Przeszłość stawiała opór." Zatrzymała się i zapisała starannie myśl w notesie. Wreszcie weszła do domu. Jedna ściana jeszcze się trzymała troskliwie wspierana przez potężny konar olszyny. Zmurszałe deski, jakieś resztki szmat, szkło i ślady ognia, który wiele lat temu nie zdołał ukryć tragedii. Pamiętała, że już wtedy, przed 25 laty było tu wilgotno. Teren obniżał się i jakby zasysał dom do wnętrza ziemi wraz z obejściem. Być może to natura nie pozwoliła wtedy płomieniom w rytuale całopalenia wysłać tej makabrycznej ofiary do nieba.

Maria usiadła na fragmencie muru – pewnie fundamentu i wyjęła notes. Naszkicowała kilka ujęć. Tu, po lewej stronie okna, musiało stać łóżko. Z prawej drzwi do następnego pomieszczenia. Kolejne okno na następnej ścianie. Pamiętała dawne wiejskie izby. Za to lubiła takie chałupy. Okno na każdej ze ścian o każdej porze dnia wpuszczało światło słońca wędrującego po niebie. Zapewne i tu, w tej drewnianej chałupinie było podobnie. Przymknęła oczy, by wczuć się w atmosferę tego miejsca. Postanowiła, że przyjedzie tu wieczorem, najlepiej po zmroku, żeby zobaczyć, poczuć, jak wyglądało to miejsce kilkanaście lat temu. Czy widać było światła pobliskiej wsi? Czy ludzie mogli słyszeć krzyki mordowanych? Czy ktoś mógł coś zauważyć? W porannych oparach, które wcale nie miały zamiaru się rozwiać, nie dało się niczego dojrzeć. Maria odszukała auto w zaroślach i odjechała, kierując się w stronę niewielkiego sklepiku na rozstaju dróg w Borkach. Niepozorny budynek stał na skraju poPGRowskich zabudowań. Odrapany z białej farby, ze złuszcżającymi się literami szyldu tylko dla wtajemniczonych mógł uchodzić za sklep a nie opuszczony barak. Mimo wczesnej pory sklep miał najwyraźniej sporo klientów. Jedni stali, inni siedzieli na prowizorycznej ławeczce z deski i skrzynek po piwie. Kilku mężczyzn z widocznym w postawie bagażem doświadczeń cierpliwie sączyło coś z butelek trzymanyh w dłoniach, a teraz zapobiegawczo ukrytych za pazuchami. Kiedy nieznajoma podchodziła do drzwi, towarzystwo ucichło i zamarło w bezruchu wyęzając podkrążone, otoczone siecią zmarszczek i głęboko zapadnięte oczy.

- Dzień dobry - powiedziała po prostu Maria.

- Bry - bąknęło automatycznie towarzystwo nie poruszając się prawie wcale. Zupełnie jakby nie spodziewali się własnej odpowiedzi.

W sklepie panował półmrok, który skutecznie maskował niedostatki higieniczne. Dopiero po kilku sekundach wzrok Marii na tyle przywykł do półmroku, że zauważyła stojącą za sklepową ladą drobną kobietę. Niepozorna postura została wzbogacona o przenikliwy wzrok. Maria miała wrażenie, że gdyby nie okulary, kobieta mogłaby wkraść się do jej umysłu. Uparcie podtrzymując spojrzenie ekspedientki przywitała się.

- Dzień dobry. Czy dostanę wodę mineralną?

- Jak najbardziej - odpowiedziała sprzedawczyni teraz z szacunkiem, który Maria zdobyła sobie najwyraźniej nie unikając jej wzroku. Na blacie stanęła butelka gazowanej wody.

- A może jest niegazowana?

- Jak najbardziej - powtórzyła kobieta i zamieniła butelki.

- Coś jeszcze pani życzy? - uprzejmie zagaiła sprzedawczyni.

Maria instynktownie wyczuła, że kobieta oczekuje kontaktu. Chwilę szukała w portfelu drobnych, żeby

zyskać na czasie i zastanowić się, czy warto podejmować rozmowę. Ale sprzedawczyni była bardziej niecierpliwa niż mogłoby się to wydawać.

- Pani do rodziny przyjechała? Bo jakaś buzia znajoma...

- Nie. Piszę książki - postanowiła mówić prawdę. To robiło wrażenie. Zgodnie z przewidywaniami Maria zobaczyła tak dobrze jej znany błysk zaskoczenia i podziwu.

- Zbieram materiał do kolejnej...

- Romanse? - wtrąciła się kobieta.

- Nie - uśmiechnęła się Maria.

- Szkoda. Bo wie pani, co człowiekowi zostaje na starość? Tylko o cudzych miłościach poczytać - filozofowała kobieta.

- Ale wątek miłosny musi być, prawda? - zależało jej, żeby podtrzymać rozmowę, więc uśmiechnęła się najszerzej jak potrafiła.

- Piszę kryminały, a tu niedaleko było parę lat temu takie głośne morderstwo... - zawiesiła głos bacznie obserwując sklepikarkę - chciałabym wykorzystać ten wątek w swojej nowej książce.

Wyglądało na to, że Maria miała szczęście, bo kobieta z entuzjazmem zaczęła opowiadać.

- Ta... pamiętam jak tych dziadków ukatrupili. Takie spokojne ludzie, kuzyna wychowywali, tyle lat tu mieszkali, a ten Pękalski ze Stojanowa chyba był. Toć to tragedia taka była, podobno ich podpalił jeszcze, że strasznie wyglądali, jak ich chłopak znalazł...

- Ten ich kuzyn? - podchwyciła Maria.

- Ta, dobry chłopak. Znalazł ich, jak nad ranem po zabawie wrócił. Marek Kierczuk, mieszka tu zara niedaleko. Pani, nie ten sam chłopak. Nie pije, co kupuje u mnie, w zeszycie pisze, stale do sądu pozwy pisze. Jak to ludziom się w głowach pomiesza, co? Z nim jakby pani porozmawiała...

- A będzie chciał rozmawiać?

- Spróbować można. Raczej chętnie gada, choć nie ze wszystkimi. Gówniarzy nie lubi i gania ich, kiedy może.

Tak Maria dowiedziała się o bezpośrednim świadku zbrodni, co postanowiła wykorzystać. Kiedy wsiadła do auta, chwilę zastanawiała się jeszcze, czy odwiedzić go dziś, czy przełożyć wizytę na jutro. W rozważania wtrącił się jej żołądek, który nagle dał znać, że nie zjadła jeszcze śniadania, a przecież zbliżało się południe. Żegnana spojrzeniami stałych klientów odjechała w stronę Stojanowa.

Za późno zorientowała się, że lodówka w domu świeci chyba pustkami. Bardzo niechętnie postanowiła zatrzymać się przy sklepie w rodzinnej miejscowości. Niewielki różowy budynek był kiedyś domem mieszkalnym - pamiętała to z czasów dzieciństwa. Okratowane okna i schludny szyld zdradzały przeznaczenie budynku. Nabrała powietrza w płuca i weszła do klimatyzowanego wnętrza. Uśmiechnęła

się w duchu do siebie, bo pomieszczenie nie przypominało przybytku, który odwiedziła zaledwie pół godziny temu w sąsiedniej wsi. Elegancka, wysoka kobieta wstała z krzesła i odpowiedziała na powitanie, choć uważnie śledziła wzrokiem Marię rozglądającą się po oszklonych ladach. Zapach świeżej wiejskiej kielbasy, ciepłego chleba i ciasta odebrał dziewczynie zdolności logicznego myślenia. Dlatego nie znośła wychodzić z domu bez posiłku. Nie mogła wtedy się skupić ani tym bardziej pisać. Kiedy kończyła już pakować jedzenie do granatowego, niewielkiego plecaka, do sklepu weszły dwie kobiety. Maria doskonale je знаła z dzieciństwa. Pietkiewiczowa niewiele się zmieniła mimo upływu lat. Może tylko miała trochę więcej zmarszczek, ale starannie ufarbowane włosy upięte w wysoki kok oraz gładka natłuszczona porządnie cera maskowały wiek. Należała do takich kobiet, które wcale się nie starzeją, a jeśli już to jakoś niezauważalnie. Wyglądała niczym wytworna hrabina zajmująca się wyłącznie haftowaniem, czytaniem oraz konwersacjami. Nosila powłóczyste, kolorowe sukienki luźno interpretujące jej obfite kształty. Uzupełnieniem barwnych szat były tęcze paznokcie, krzykliwe torebki i buty. Mimo bijącej od niej życzliwości i otwartości charakteru w jej ruchach było coś, co zawsze kojarzyło się Marii z wielkopaństwem, spokojem charakterystycznym dla ludzi, którzy nie muszą się martwić sprawami materialnymi typu zakup chleba czy pranie. Wyważone ruchy pełne były gracji i elegancji. Gdyby Maria jej nie znała, pomyślałaby, że odebrała staranne wychowanie w szkole dla wysoko urodzonych. Tymczasem w rzeczywistości Pietkiewiczowa była prostą kobietą wychowaną na wsi, ale za to rozczytującą się w powieściach romantycznych, a jej ukochana książka to oczywiście "Trędowata". Jako ośmiolatka Maria bawiła się z córkami Pietkiewiczowej, bywała u niej w domu, który znajdował się po przeciwnej stronie żwirowej drogi. Mąż kobiety niestety nie był ordynatem, lecz zwyczajnym rolnikiem, który uwielbiał konie i piwo. Mimo utraty prawie całego gospodarstwa w wyniku namiętności męża, kobieta z niezmienną godnością nosiła głowę wysoko. Nawet wówczas, gdy musiała poszukiwać pierwszej pracy w wieku 50 lat. Maria była zazwyczaj zawstydzona jej serdecznością, przyjacielskim uśmiechem odsłaniającym srebrną koronkę na zębie i bezpośrednimi żartami. Nie poznała takich ludzi ani we własnym domu, ani potem w życiu.

Dom drugiej z kobiet sąsiadował z domem Marii przez płot. Zadrożna była przeciwieństwem swojej serdecznej przyjaciółki. Energiczna, zorganizowana, obrotna na tyle, że wypuściła w świat czworo dzieci z wyższym wykształceniem pracując na dwóch etatach jako fryzjerka i bibliotekarka. Zazwyczaj nie chodziła tylko biegała zamyślona i skupiona, wiecznie gdzieś spóźniona. Jej wygląd również był zaprzeczeniem sąsiadki - szczupła, niewysoka, krótko ostrzyżona, ubrana skromnie, ale gustownie. Mąż Zadrożnej podzielał podobnie jak sąsiad namiętność do piwa. A że w tamtym czasie w okolicy powstał pierwszy bar, mieli doskonale miejsce do rozwijania własnych zainteresowań ku niezadowoleniu żon. Może dlatego kobiety żyły się bardzo, choć mężowie wręcz odwrotnie. Na zmianę przepijali zarobione pieniądze oraz biegali po ulicy z siekierami wygrażając jeden drugiemu. Maria pamiętała te obrazki widziane z okien własnego domu. Patrzyła na nie z przerażeniem, choć śmiała się tak samo jak wszystkie dzieci z ulicy, gdy któraś z kobiet przywoziła męża na taczce do domu po tym, jak zabłądził w okolice baru w drodze z pracy do domu. Dzieciaki nazwały bar "trójkątem bermudzkim". Prawdziwej nazwy nikt nigdy nie pamiętał. Jej ojciec nie pokazywał się wtedy w domu zbyt często. Matka zbyt zajęta była praniem, gotowaniem i sprzątaniami, by szukać go jak miały w zwyczaju inne żony. A może po prostu odpoczywała wtedy od jego pretensji i wrzasków.

Wszystko to ożyło w głowie Marii, gdy zobaczyła kobiety. Oczywiście pierwsza odezwała się Pietkiewiczowa.

- Tak się właśnie zastanawiałam, czy dobrze poznałam, że to nasza Marysia wróciła do domu - uśmiech nie schodził sąsiadce z twarzy, a słowo *nasza* jeszcze podkreśliło serdeczność i przynależność Marii do

miejsca, które w jej odczuciu nigdy nie było jej domem. Poczula się nieswojo, bo wiele lat spędziła na tym, by odkleić się od tego miejsca. Zapomnieć...

Sąsiadka kontynuowała niezrażona markotnym wyrazem twarzy dziewczyny, która patrzyła uparcie w plecak pchając tam torbę bułek.

- Szkoda, że nie przyjechałaś w wakacje. Tak pięknie w tym roku było i ciepło. Teraz to już szaro i palić trzeba, a tam u was chyba coś słabo ten piec działał. A na długo przyjechałaś?

- Nie sędzę - rzuciła opryskliwie Maria, ale widząc zmieszanie w twarzy kobiety, postanowiła się zrehabilitować. W końcu знаła ją dużą część życia, a i parę obiadów u niej zjadła.

- Ma pani rację. Zimno teraz i nieprzyjemnie, ale latem pracowałam dużo, a teraz mam trochę wolnego, więc przyjechałam odpocząć, zebrać siły...

- Aaaaaa, pewnie coś piszesz - odezwała się nagle Zadrożna, która raczej do rozmownych nie należała. No tak, w końcu pracowała w bibliotece i mogła wiedzieć, jak zarabia na życie Maria.

- Pisziesz? A to gdzie pracujesz? - zagaiła Pietkiewiczowa nieświadoma widocznie, co było w jej przypadku dziwne, bo zazwyczaj wiedziała i widziała wszystko. A czego nie wiedziała, to dopowiedziała.

- Maria pisze książki. Kryminały, ale bardzo przygnębiające. Mam kilka w bibliotece, a moja Małgosia bardzo się w nich zaczytuje. Zdziwiła się, jak jej powiedziałam, że Marysia tu kiedyś mieszkała - wyręczyła ją Zadrożna.

- A ty wiedziałaś, Bożenka? - zagadnęły właścicielkę sklepu.

Po serii pytań i złożeniu przysięgi, że podpisze książki dla Małgosi i całego fanklubu, zaczęło się to, czego obawiała się najbardziej.

- A u siostry już byłaś?

- Nie, ale muszę już panie pożegnać, bo jeszcze dzisiaj nic nie jadłam - użyła jedyne argumentu, który mógł podziałać na kobiety.

- Matka cieszyłaby się, że ma córkę, co tak daleko zaszła - sąsiadki zdawały się nie słyszeć, że Maria chce opuścić zgromadzenie.

- Taaaa, a i ojciec pewnie by puchł z dumy. Już widzę, jak się chwali we wsi i krzyczy, że jego krew...

- Tak, moja kochana - teraz Zadrożna jej zawtórowała - tylko my chyba z naszej ulicy zostałyśmy, a reszta młodzież. Puste domy stoją, większość ucieka do miasta... A czy to tak dobrze w tym mieście? Ja do Małgosi jak jeżdżę albo do Marka do Warszawy...

- To ja pożegnam już panie. Na pewno się jeszcze spotkamy - Marysia przerwała słowotok kobiety. Nie chciała wracać do przeszłości.

Zapraszały ją serdecznie do siebie, nawet kiedy wyszła już na zewnątrz i choć wierzyła w ich dobre intencje, to wiedziała, że stoi za tym ciekawość i chęć zdobycia kolejnych nowinek do plotkowania przez na-

stępne tygodnie, a może i miesiące, gdy jej tu już dawno nie będzie. Kiedy odjeżdżała, wciąż w głowie dźwięczało jej pytanie o siostrę. Wdusiła gaz i ostro skręciła w uliczkę, która jakiś czas temu stała się wygodną i elegancką ulicą z chodnikami i ścieżką dla rowerów.

Dom Gołębczyka znalazła nie bez trudu. Zanim tam trafiła, wisiała na telefonie pół godziny, wysłuchując szczegółowych instrukcji wściekłego policjanta. Nie ukrywał furii, kiedy kolejny raz nie zauważyła wąskiej, wyboistej i porośniętej trawą ścieżki prowadzącej do niewielkiej chałupiny z czerwonej cegły ukrytej w głębi podwórza, za stajnią i stodołą. Nawet przez telefon czuła, jak zaciska szczęki, by nie zacząć na nią wrzeszczeć. Zaczynał się średnio w co drugim wyrazie. Sama była już zła, bo traciła tu czas zamiast pisać, ale powstrzymywała się całą siłą woli, żeby nie wybuchnąć. Za bardzo potrzebowała rozmowy z tym człowiekiem. To on zajmował się sprawą zabójstwa Kierczuków 20 lat temu. A kiedy chodziło o zdobycie informacji i pisanie, Maria gotowa była znieść wiele. Wreszcie na wąskim pasku asfaltu, który wydawał się ciągnąć w nieskończoność i niknąć wśród pól i krzaków, tuż przed maską wyrósł facet. Zahamowała gwałtownie i już miała wyskoczyć z auta i gościa pieprzyć w gębę za idiotyczne zachowanie, ale zanim zdążyła zaciągnąć ręczny, on otworzył drzwi i bez wstępów rzucił:

- Ślepa jesteś kobieto, czy co? Jak w-wół figurka, a w prawo d- droga!

Maria powstrzymała soczyste przekleństwo cisnące się na usta, bo wiedziała, że z Gołębczykiem nie ma co teraz dyskutować. Trzasnął z impetem drzwiami auta i wystrzelił jak pocisk w stronę pobliskich krzaków, za którymi faktycznie znalazła drogę do gospodarstwa. Toczące się wolno auto z trudem nadążało za mężczyzną, który wpadł za bramę i nie czekając na Marię, wbiegł do stajni z prawej strony podwórza. Ponieważ nie pokazał się przez dłuższą chwilę, kiedy ustawiała samochód po lewej lawirując między głazami, kałużami błota i dwoma owczarkami niemieckimi - emerytami, wysiadła i skierowała się do odrapanej stajni. W środku poza stosami siana, dostrzegła na wpół leżącego niewielkiego konia i Gołębczyka, który klęczał obok. Stała w progu, bo mężczyzna mówił coś do zwierzęcia głaszcząc je nieustannie po szaro-łaciatym karku. Oczy miał matowe, a na pysku białą kępkę włosów, która wyglądała jak broda starca. Koń zastrzygł nerwowo uszami na jej widok. Chwilę nerwowo poruszał nozdrzami, żeby za moment położyć łeb na kolanach siedzącego obok mężczyzny. Maria stała zmieszana i niepewna czy wyjść, czy pozostać. Patrzyła na tę scenę i już wiedziała, że uczyni z niej użytek w książce. Takich chwil nie musiała zapisywać. One zostawały z nią. Wtedy koń podniósł łeb i potrząsając grzywą spojrzał w oczy kobiety. Gołębczyk obejrzał się za siebie i teraz Maria poczuła na sobie drugie spojrzenie. W tych oczach zobaczyła strach zamaskowany łzami. Obróciła się na pięcie i wybiegła na zewnątrz. Ten koń umierał. Maria nie spodziewała się tego. Przyjechała rozmawiać, potem przyjąć na siebie wiadro pomysłu za nieudolną nawigację, ale współczucia, cierpienia i śmierci się nie spodziewała. Zbierała się w sobie wdychając zapach siana i koni. Dopiero teraz zauważyła, że za niewielkim domem było zagłębienie terenu udające staw, nad którym zgromadziło się kilka koni różnej maści i wielkości. Podwórze było zaniedbane, a dom wyglądał z daleka na opuszczony. Z lewej gospodarstwo opierało się o ścianę lasu, a z prawej rozpościerała się wciąż soczysto zielona łąka, mimo chłodu i zbliżającej się zimy. O nogi Marii oparł się jeden z owczarków, które wcześniej omijała autem. Ścisnęła w garści kluczyki gotowa wejść znów do stajni, ale kiedy odwróciła się, zobaczyła Gołębczyka stojącego w drzwiach. Patrzyła na niego i czuła, jak serce ponownie zaczyna jej nerwowo tańczyć w piersi. Spodziewała się podstarzałego gliny, a po jankaniu się wywnioskowała, że sporo przeszedł. Tymczasem stał przed nią wysoki, barczysty facet w luźnych spodniach i cieplej, kraciastej koszuli, na którą narzucił pikowany serdak. Przechodząc obok niej, ocierał oczy szeroką, spracowaną dłonią. Nie musiała pytać, by wiedzieć, że już po wszystkim. Stała dalej

niepewnie patrząc na plecy oddalającego się mężczyzny, aż odwrócił się na progu domu i burknął:

- Wchodzi pani, czy co?

Wnętrze było zaskakująco ciepłe. Z przyjemnością zanurzyła się w środku, wdychając zapach tego miejsca. Czuła drewno, które płonęło z trzaskiem słyszalnym już w niewielkim przedsionku. Gołębczyk mył właśnie ręce w małej, surowej łazience. Popchnął ją lekko do środka domu. Rozejrzała się uważnie. Dom mówi o człowieku więcej niż słowa, niż poglądy, które wygłasza. Zwróciła uwagę na porządek. Mieszkaniec tego domu posiadał niewiele sprzętów - ciemna kanapa przed kominkiem, stół i krzesła stanowiły główne umeblowanie dużej i jasnej izby, bo z pewnością nie był to typowy salon. Murek odgradzał nie-dużą kuchnię od reszty pomieszczenia. Proste, drewniane sprzęty idealnie pasowały do niskiego, belkowanego sufitu z szerokich desek będącego dokładnym odbiciem niczym nie osłoniętej podłogi.

- Herbaty? Kawy? - spytał policjant stojąc z metalowym czajnikiem w dłoni.

- Kawa. Bez cukru.

- Niech żesz pani siada - nerwowo rzucił policjant i skupił się na parzeniu kawy.

Maria zdjęła z siebie ciepłą, sportową kurtkę, odsunęła jedno z krzeseł i bez słowa na nim usiadła. Przebiegło jej przez głowę, że źle trafiła i nie będzie to normalna pogawędka. Zazwyczaj jej rozmówcy byli zafascynowani faktem, że oto pisarka we własnej osobie chce się dowiedzieć czegoś o nich, że są ważni, a posiadane informacje, choćby najbardziej błahe - bardzo istotne. Maria nigdy nie wtrącała się, gdy rozmówca wygłaszał monolog. Notowała za to dużo i słuchała czepiając się detali, które czasem urastały do motywu zbrodni lub kluczowego wątku. Potrafiła podtrzymywać człowieka w przeświadczeniu o jego wyjątkowości i ważności, ponieważ potrafiła słuchać. Ale w tym przypadku rozmówca wyglądał na dużo bardziej zatrzęsniętego wewnątrz niż ona. Wyczuwała, że będą problemy. Tyle tylko, że uwielbiała takie wyzwania. Wyjęła więc z torby swój brązowy notes, ale zanim zdążyła się odezwać, ubiegł ją Gołębczyk.

- To co pani chciała wiedzieć?

Z niedowierzaniem patrzyła na faceta, który jeszcze chwilę temu był przy śmierci konia. Bystre, błękitne jak czysta woda oczy patrzyły na nią uważnie bez śladu tamtych emocji. Odchrząknęła i zaczęła:

- Chciałam dowiedzieć się wszystkiego na temat tego śledztwa, które pan prowadził w dziewięćdziesiątym szóstym. Tak jak wspominałam przez telefon - chodzi o morderstwo Kierczuków. Wiem, że sprawców zatrzymano. Pękalski umarł w więzieniu, a syn jest na wolności z racji tego, że orzeczono u niego niepełnosprawność umysłową oraz niepoczytalność. Poza tym chyba był niepełnoletni, kiedy to się stało...

- Więc wie pani wszystko...

Uśmiechnęła się.

- Nie wiem nic. Widzi pan, z pisaniem to jest tak, że trzeba znać szczegóły, trzeba je zebrać, przesiać, żeby poczuć atmosferę, dociec przyczyn, motywacji i wreszcie stworzyć z tego coś, czym może wcale nie było. To nie reportaż, ale swobodna interpretacja, która zapewne będzie czymś zupełnie innym niż nawet

mnie się w tej chwili wydaje...

- W porządku - sapnął Gołębczyk odstawiając kubek z kawą na stół - Chce pani szczegółów. Zanim jednak przejdę do szczegółów, mam prośbę. Proszę mówić mi Adam. Nie lubię nadmiernej kurtuazji.

- Maria - mówiąc to, podała mu rękę. Uścisnął ją szybko i mocno. Ciepła i sucha - przebiegło jej przez myśl. Lubiła wychwytywać takie szczególiki. Zanotowała to.

- Szkoda, że nie mam tu akt sprawy. Sporo czasu upłynęło.

- Wiem, że pan, znaczy ty długo nad tym siedziałeś - zawstydzila się lekko, bo jakoś niezręcznie czuła się zwracając się do niego tak bezpośrednio. Spojrzała na zeszyt, ukrywając starannie wyraz twarzy, ale Adam zauważył to. Skwitował jej zakłopotanie uśmiechem. Wiele lat obserwował ludzi i zwracał uwagę na każdy detal, każdą zmianę zachowania.

Maria zakłęta w myślach.

- Zgadza się - pochylił się lekko na krześle w jej stronę.

- A skąd takie informacje?

Poczuła się jak na przesłuchaniu.

- Dzwoniłam do komendy powiatowej. Powiedzieli mi, że masz najwięcej materiałów na ten temat. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej, nawet tam pojechałam, ale dostałam tylko twoje namiary. Prawdopodobnie chcieli się mnie pozbyć.

Nie tłumaczyła mu, jak wiele trudu musiała włożyć w to, żeby wreszcie znaleźć na komendzie kogoś, kto znał jej powieści, a potem drogą targów, w których stawką było kilka jej książek, dowiedzieć się, kto konkretnie był najbardziej zaangażowany w sprawę wyjaśniania morderstwa Kierczuków.

- Chyba nie tylko moje namiary, skoro wiesz, że zajmowałam się tą sprawą nieco dłużej... - Maria przeknęła ślinę, kiedy pochylił się jeszcze bardziej. Przenikliwe oczy wpatrywały się w nią z odległości kilku centymetrów. Wiedziała, że nie może się cofnąć. Pochyliła się więc jeszcze bardziej.

- Nie, nie tylko. Wiem, że traktowałeś tę sprawę osobiście. Bardzo osobiście. Że choć w zasadzie została rozwiązana, ty uważałeś, że to nie Pękalski zabił i dlatego siedziałeś nad tym po godzinach. A ja jestem ciekawa, co sprawiło, że glina, który ma przyznanie się do winy, wciąż draży temat i nie odpuszcza, mimo że winny dawno już poszedł siedzieć...

Kiedy trzeba było, Maria potrafiła pokazać, że nie czuje strachu. Oddech mężczyzny odbijał się od jej drobnej twarzy. Widziała, jak mruży oczy, a zmarszczki wokół nich pogłębiają się. Nagle opuścił wzrok i oparł się wygodnie o krzesło. Spojrzał w okno.

- Pękalski nie przyznał się do winy, kiedy go zgarnęliśmy. Potem dorwaliśmy Młodego i zgodnie z procedurami byli przesłuchiвани osobno. Młody twierdził, że to nie oni. Matka - Pękalska zeznawała przeciw mężowi. Twierdząc, że on z całą pewnością zabił, że Młodego tam nie było. Każdy gadał co innego. Żał mi było tej kobiety. Po części przez jej zeznania wsadziliśmy męża. Wypierał się do czasu, aż ona go odwiedziła. Wtedy się przyznał. I to nie dawało mi spokoju. Matka załatwiła mężowi i synkowi dobrego

adwokata. Chłopak nie poszedł siedzieć, choć okazało się, że był z ojcem. Świadkowie widzieli ich razem tej nocy, gdy dokonano morderstwa. Nie miałem możliwości zbyt wiele z niego wycisnąć. Adwokacina załatwił mu orzeczenie o upośledzeniu umysłowym, choć na moje oko chłopak był niegłupi.

- Był zdolnym matematykiem - wtrąciła Maria.

- Jak to?

- Chodził razem ze mną do klasy. Ale tylko rok, bo potem znów oblał. Na pewno nie był upośledzony. Może zaniedbany, ale nie upośledzony.

Maria upiła łyk kawy.

- A co z miejscem zbrodni i ofiarami? Byłeś tam? Co widziałeś?

- Nic przyjemnego. Wezwał nas sąsiad Kierczuków. Znalazł ich dzieciak, którego wychowywali. Był na zabawie tu, we wsi. Wrócił nad ranem i zobaczył dym wydobywający się z domu. Mówił, że drzwi były niedomknięte, było ciemno. Wszedł do środka, a tam zobaczył dziadków. Uciekł do sąsiadów. Biegł przez pole - znaleźliśmy ślady. Sąsiad zadzwonił po policję i karetkę. Kiedy przyjechaliśmy, jeszcze nie było pogotowia. Na zewnątrz było zimno i mokro. Całą noc padało i chyba tylko dlatego chałupa nie spłonęła. Drzwi były szeroko otwarte. W środku tliła się lampa naftowa, ale na szczęście pożar zgasł. Dziadek leżał niedaleko, więc miał nadpalone nogi. Walczył z napastnikami, bo miał siniaki na przedramionach. Gołym okiem było widać, że ktoś porządnie się zamachnął na niego pogrzebaczem i tłukł w złości. Miał kilka dziur w głowie.

- Zabito ich pogrzebaczem, więc sprawcy nie przyszli z zamiarem zamordowania. Coś musiało się stać w trakcie, sprowokować ich, bo nie mieli ze sobą broni - wtrąciła Maria.

- Zgadza się – przytaknął jej z uznaniem. Też doszliśmy do takich wniosków. Poza tym zabójca uderza raz, konkretnie, a tu ewidentna była agresja, a ta jest wywołana w takich sytuacjach strachem. Założyłem, że musieli się bać. Prawdopodobnie zostali rozpoznani przez Kierczuków.

- Znali Pękalskiego?

- Tak, to nawet jakaś daleka rodzina.

- Więc wiedzieli, że dziadkowie mieli jakieś oszczędności? - drążyła Maria.

- Pewnie tak. Pękalski czasem u nich bywał, a Marek Kierczuk - ten którego wychowywali, pracował u Pękalskiego jako pomocnik.

- A babka? Gdzie była? Nie wzywała pomocy? Nie uciekała?

- Babka nie zdążyła nawet dobrze z łóżka wyjść. Obydwoje szykowali się już do spania. Ona leżała już w pościeli. To była starsza, schorowana kobieta. Miała problemy z poruszaniem się z powodu tuszy i kłopotów z krążeniem. Myślę, że była świadkiem zajścia, ale zanim wypłatała się z pościeli, dziadek już nie żył. Ona leżała przy łóżku na podłodze. Dostała w twarz czymś ciężkim. Nie wiadomo było czym, choć obydwaj sprawcy zgodnie twierdzili, że pogrzebaczem.

- Dlatego właśnie z tobą rozmawiam - uśmiechnęła się Maria - interesują mnie takie szczegóły jak ten.
- Dlatego rozmawiamy? Dla szczegółów? - Gołębczyk odpowiedział grymasem, który chyba też miał być uśmiechem - co to w ogóle ma być za książka?
- Piszę kryminały, ale z tego kroi mi się zupełnie inna historia - pochyliła się i zanotowała kilka słów w zeszycie.
- Inna?
- Chyba psychologiczna...
- Słynna Maria Miazga, najlepsza specjalistka od historii kryminalnych we wszechświecie nie napisze tym razem kryminału! - wyraźnie z niej drwił, co wprawiło ją w osłupienie. Przytoczył fragment jednej z recenzji na okładce ostatniej książki. Zaskoczenie trwało chwilę. Spojrzała mu w oczy.
- Posłuchaj mnie uważnie. Wychowałam się tu, znałam tych ludzi, pamiętam, co się działo we wsi. Wiem, jak to wszystko wpłynęło na rodzinę Pękalskiego, na jego żonę, syna, córkę... Ciebie tu nawet wtedy nie było. Nie wiesz nic o mnie ani o tych ludziach. To dla ciebie kolejna sprawa, panie policjancie. A ja traktuję to osobiście i nie życzę sobie, żeby ktoś robił sobie ze mnie kpiny, nawet jeśli przed sekundą pożegnał się z umierającym koniem i teraz chce się za to na mnie odegrać.

Widać było zaskoczenie w jego oczach. Kiedy wspomniała o koniu, po twarzy przemknął mu ledwie zauważalny grymas. Nie spodziewał się takiej reakcji po tej niedużej kobiecie przypominającej wyglądem dziewczynkę. A tym bardziej nie spodziewał się zaciśniętych pięści i gniewu wyczuwalnego w każdym słowie. Dlatego roześmiał się pojednawczo i zapytał:

- Co jeszcze chcesz wiedzieć, zanim się na mnie rzucisz z tymi pięściami?

Milczała chwilę.

- Jaka była rola Pękalskiej w tym wszystkim? Wspomniałeś, że to po jej wizycie mąż przyznał się do wszystkiego – kobieta minimalnie się rozluźniła.
- Przesłuchiwałem ją kilka razy. Nie wiedziała o niczym. Myślała, że ojciec zabrał syna po pracy na zabawę. Młody Pękalski pomagał ojcu na budowach. Wrócili do domu około 23.00, co ją zdziwiło, ale byli wypici, więc poszli spać. Po aresztowaniu męża została sama z dziećmi, niewykończonym domem i adwokatami do opłacenia.
- Nieciekawie... - podsumowała Maria notując w zeszycie.
- A teraz powiedz mi, dlaczego tu wróciłaś? Zawsze tak szczegółowo badasz sprawę zanim ją opiszesz?
- Po co ci ta wiedza? - nie znosiła, kiedy ktoś włączył w jej życie i próbował dociekać przyczyn jej postępowania. Zamknęła się dawno temu dość szczelnie i nie miała ochoty otwierać się przed nikim.
- Czy ja wiem? Zawodowa ciekawość? Zaintrygowało mnie to, co powiedziałaś, że tu się wychowałaś.
- Nie znoszę wścibskich glin.

Nie odezwał się, choć dała mu wyraźny znak, że nie będzie rozmawiać. Mimo to patrzył na nią i czekał.

- Pamiętałam tę historię z dzieciństwa. Chciałam o niej napisać, ale było sporo innych. Teraz po prostu przyszedł czas na tę właśnie.

Adam dalej patrzył na nią i czekał.

- Dlaczego teraz?

- Skończyły mi się pomysły.

- Dlaczego nie wcześniej?

- Po prostu nie chciałam tu wracać. Zbyt wiele osób mnie tu zna. Nie lubię rozgłosu.

- To mogę zrozumieć. Ale ja cię nie pamiętam, a pamięć mam dobrą - Adam zmarszczył brwi wpatrując się w nią, jakby próbował sobie coś przypomnieć.

- Jak to nie pamiętasz? - teraz ona przyjrzała się uważnie mężczyźnie.

- Możesz mnie nie pamiętać... Ile masz lat? 30? Kiedy ja kończyłem podstawówkę, ty pewnie jeszcze na stojąco pod szafą chodziłaś - kpił z niej wyraźnie. Czula, jak rośnie w niej irytacja objawiająca się ciężarem w okolicy żołądka. Nie wiedzieć czemu była gotowa gościowi przyłożyć. Panicznie przeglądała w głowie obrazy z dzieciństwa, do którego tak niechętnie wracała. Westchnęła, uspokajając się, na ile się dało. Nerwy niczego nie zmieniają. Barczysty facet o niedogolonej twarzy i włosach posiwiałych na skroniach nijak miał się do galerii chuderlawych wyrostków, których miała w głowie. Mógł być od niej kilka lat starszy, ale chyba nie na tyle, żeby nie pamiętała go ze szkoły.

- Znam cię! - wykrzyknęła nagle niemal z radością. Oczywiście że nie mogła pamiętać go ze szkolnych korytarzy.

- Pamiętam, jak ciągnąłeś ojca spod baru - nie zwróciła uwagi, że z jego twarzy zniknął kpiący uśmiešek. W ferworze zaczęła wyrzucać z siebie zapamiętane szczegóły.

- Strasznie się upił, a ty miałaś może z 16 lat i byłeś taki blady, a ojciec leżał...

- Dość! - powiedział na tyle głośno, że zatrzymała się w pół zdania. Mierzyli się chwilę wzrokiem. Pomyślała, że obydwójce mają takie miejsca w głowie, do których nie chcą zaglądać. Zanotowała to szybko zagłuszając ciszę szelestem kartek notesu. Zanim podniosła głowę i ponownie spojrzała mu w oczy, usłyszała:

- Mieliśmy rozmawiać o sprawie Kierczuków, a nie robić wycieczki w przeszłość.

- W porządku - momentalnie stwardniał również jej głos.

- Ale to działa w obydwie strony tak samo.

Nie zabrzmiało to jak ugoda, a raczej jak wyzwanie. Nie wiedziała czemu, ale miała wrażenie, że zobaczyła błysk zrozumienia w jego oczach. Poznał ją... Wiedział, kim była kiedyś.

- Tak będzie najlepiej, panno Morawska - rzucając jej w twarz rodowe nazwisko potwierdził przypuszczenia dziewczyny. A więc remis. Odetchnęła z ulgą, a w pomieszczeniu zrobiło się jakby jaśniej. Mimo to chciała jak najszybciej opuścić to miejsce. Miała sporo materiału do przemyśleń. Poza tym czuła się wyczerpana. Nie przywykła do przebywania w towarzystwie ludzi. Rozmowy zazwyczaj ją męczyły i okradały z energii. Ale traktowała zbieranie materiału jak zło konieczne. Najszybciej jak się dało, pożegnała się z Adamem, któremu widocznie na rękę było pozbycie się niewygodnego gościa, bo nie zatrzymywał jej, gdy stwierdziła, że na dziś wystarczy.

W głowie zaczęły jej się rodzić pierwsze obrazy, zarys postaci policjanta, który z pewnością będzie podobny do Gołębczyka. Popędziła do domu, żeby jak najszybciej utrwalić pomysły zanim znikną za szarym horyzontem myśli.

Zawsze zaczynało się tak samo. Słyszała szum płynącej wody i śmiech dziecka. Balansowała na granicy niepewna, czy chce wszystko przeżyć jeszcze raz. Zmęczone ciało zaczęło się poddawać, a mózg precyzyjnie odtwarzał tak dobrze znany jej film. Sprzeczne uczucia - jak zwykle. Radość, bo widzi szczęśliwą Magdę i strach przed tym, co później nastąpi. Własny dziecinny głos wołający siostrę. Beztroski chichot. Szum wiatru i ciemność. Biegła w stronę dziecięcego głosiku, choć wiedziała, że nie zdąży. Mimo to jak zawsze biegła z tą samą nadzieją, że tym razem może się udać. Splątane czarne włosy czesane nurtem rzeki? Nie, to spieniona woda. Wyciągnięta dłoń. Jej czy siostry? I krzyk matki. Donośny, przesywający krzyk przechodzący w skowyt wypływający z głębi zwierzęcej natury człowieka. Potężna dłoń miażdżąca jej gardło. Strach czy ojciec? A potem już tylko swobodne opadanie w czarną watę niebytu. Ulgą, obojętnością, spokój. I ból w podbrzuszu, który pozbawia komfortu umierania. Krew na udach. Śmierć dziecka. Narodziny kobiety. Szum w uszach i cisza zwiastująca brak oddechu. Moment unoszenia się w wieczności jak w ciepłej wodzie pozbawionej blasku światła. Nagły świst powietrza wciąganego do płuc przebija ciszę miękko, ale groźnie. Śmierć ucieka w popłochu.

Maria usiadła na łóżku.

- Żyję... - zacharczała ocierając pot z czoła - cholera, żyję.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Miazga, dodano 09.02.2018 21:19

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.